

Spotkanie z teatrem

Powrót Słowackiego

Z „Balladyną” zetknąłem się po raz pierwszy w dzieciństwie za pośrednictwem starszej siostry. Pojechała do dużego miasta na wycieczkę. Była w teatrze, właśnie na „Balladynie”. Opowiadała mi przedstawienie, jak opowiada się bajkę. Słuchałem z wypiekami o dwu siostrach, Goplanie, Chochliku i Skierce, o zbrodni, tragedii starej matki i o piorunie, który wymierzył sprawiedliwość zbrodniarce.

Odtąd marzyłem o obejrzeniu tego przedstawienia. Spełniło się po kilku latach. Później wiele razy oglądałem dramat Słowackiego na scenie, zwykle z uczuciem niedosytu, ale zawsze z dużą uświadomością na poetyckie słowo, które coś we mnie poruszało. Znam utwór nieomal na pamięć. Z niejakim więc ociąganiem przystąpiłem teraz do ponownej lektury. Znowu mnie pochłonięta. To naprawdę fascynujące dzieło. To Szekspir wpisany w baśń ludową i przyprawiony polskimi archetypami politycznymi, z których jeden — mniejsza, czy do końca słuszny — określa Polaków jako dzielny naród, który nie potrafi z siebie wyłonić szlachetnej, sprawiedliwej władzy; pozostaje mu czekać na interwencję boską, co nieraz i czynił (a kto wie, czy i dzisiaj cudu nie wygląda?).

☆

Nie tylko „Balladyną”, ale w ogóle Słowackiego na wrocławskich scenach nie było od przeszło dwudziestu lat. Wyrósł całe pokolenie widzów i aktorów, którzy nie oglądali tutaj dramatów Słowackiego, ani w nich nie grali. Czy wyobrażacie sobie, że można żyć w Polsce i nie jeść kartofli lub nie śpiewać koled? To mniej więcej to samo.

Trudno więc przecenić sam fakt pojawienia się na scenie Teatru Polskiego „Balladyny”. I nie jest też specjalnie dziwne, że utwór sprawił duży kłopot realizatorom i sprawia kłopoty publiczności, zwłaszcza tej młodej. Obejrzałem nie przedstawienie premierowe, ale szkolną popołudniówkę. Widownia w

niewielkim stopniu okazywała zainteresowanie wydarzeniami scenicznymi, nie poddawała się nastrojowi, ani go nie współtworzyła, wydawała się niewrażliwa na słowo, które zresztą w czystej, szlachetnej postaci docierało ze sceny za rzadko.

Może błędem jest, że po tak długiej przerwie nie zrealizowano sztuki Słowackiego najzwyczajniej, po prostu tak, jak została napisana, tradycyjnie, po staroświecku. Jest prawdopodobne, że otrzymałaby złe recenzje, ale może lepiej by słuchała swojej podstawowej widowni. Nie wykluczam, że miałbym wówczas pretensje do twórców, że to mało odkrywczym, standardowym, wyświechtanym. Może cytowałbym niegłupich ludzi twierdzących, iż w tradycyjnym kształcie „Balladyna” już nie nadaje się do wystawiania. Stało się inaczej i też mam mnóstwo wątpliwości i zastrzeżeń.

Przedstawienie wrocławskie rozgrywa się na wielkiej drodze, załudnionej tłumem podróżników, ubranych współcześnie (przeważają ciemne garnitury, kapelusze), wylaniających się z mroku, idących ku nam („droga” przekracza scenę, wcinając się w widownię). Ow tłum, nazwany gminem, to chyba my, zwykli ludzie, ludzie współcześni, ale z balastem przeżyć, doświadczeń, kształtujących naszą świadomość i obecnych w podświadomości zbiorowej. Niektóre przybierają postać mitów, archetypów, zastygają w znakach, symbolach lub ukrywają np. w balladach. Przedstawienie jest jakby próbą zmaterializowania tego, co z doświadczeń zbiorowych, gromadzonych przez wieki, zastygło w ludowej balladzie, zdawałoby się prostej, przejrzystej, naiwnej.

Pomysł niewątpliwie ciekawy, ambitny i uprawniony. Raz już przed kilkoma laty tej samej reżyserce się sprawdził. Powtórka jest jednak, częściowo przynajmniej, chybiona. Nie bez znaczenia może być upływ kilku lat; gmin sceniczny znalazł się w innym punkcie drogi

niż widownia i nie dochodzi do połączenia ich we wspólnotę. Może różnica polega i na tym, że kiedyś to wszystko, co pojawiło się na scenie było znalezione w trudzie zespołu i przez to żywe, a teraz w jakimś stopniu zrekonstruowane, więc bardziej powierzchowne. W każdym razie przedstawienie ma niewielkie oddziaływanie emocjonalne, intelektualnie nie oszłamia, więc w rezultacie — wstyd powiedzieć — jest, wyjąwszy kilka scen, dosyć nudne.

Przyglądając się aktorom nie bardzo umiałem zrozumieć, co grają. Raz sygnalizowali dystans do postaci, to znów jakby wchodził w rolę serio i do końca; jeśli była w tym jakaś gra niuansów, to ja jej nie uchwyciłem. Spostrzegłem zaś coś, co naprawdę głęboko niepokoi: aktorzy mówili, poważnie głośno, a ja ich często nie rozumiałem. Wiem, że specyficzna scenografia zmieniła warunki akustyczne, wiem, że scena Teatru Polskiego stawia szczególne wymogi warsztatowe wykonawcom, ale na miły Bóg, przecież to profesjonalści, niektórzy z zasłużoną opinią bardzo dobrych aktorów. Coś złego dzieje się z zawodową higieną aktorów, zresztą nie tylko tych, i w niejednym teatrze. Czy można być muzykiem, nie ćwicząc codziennie gry na instrumencie? A aktorem, którego instrumentami są ciało i głos?

☆

Dyrektor Jacek Weksler obiecywał, że jeżeli będzie spadał to z wysokiego konia. Słowa dotrzymuje. „Balladyna” jest ambitnym przedsięwzięciem, którego realizacja tylko częściowo sprostała zamierzeniom. Czekał galopu na wysokim koniu, z którego jeździec nie spadnie. Może to będzie „Miazga” w realizacji Brauna?

TADEUSZ BURZYŃSKI

Teatr Polski we Wrocławiu:
„Balladyna” Juliusza Słowackiego.
Opracowanie tekstu i reżyseria:
Krystyna Meissner. Scenografia:
Aleksandra Semenowicz. Muzyka:
Zbigniew Karnecki. Choreografia:
Zbigniew Zukowski. Premiera 12
stycznia 1991 r.